



**Stefanie Zweig**

**DZIECI  
Z ALEI  
ROTHSCHILDÓW**

*Niezwykłe barwna i piękna opowieść o świecie, którego  
już nie ma — Małgorzata Matuszewska, „Gazeta Wrocławska”*

## P U K A N I E   D O   D R Z W I

Sylwester 1926



Jedyną z czterech córek szanowanego frankfurckiego przedsiębiorcy Johanna Isidora Sternberga, której charakter przypominał miłe i pogodne usposobienie jego żony Betsy, była osiemnastoletnia Anna. Dzięki optymizmowi i naturalności, z których jej trzy siostry się naśmiewały, uważając je za relikty epoki mieszczańskiej, Anna była pociechą swego starzejącego się ojca. Mimo że los bardzo wczesnie pozbawił ją szczęśliwego dzieciństwa i dziecięcej ufności, pozostała tą samą optymistką, która na czwarte urodziny zażyczyła sobie dywanu utkanego z rodzynek i karety z marcepana, a potem uszczęśliwiona cieszyła się z torebki makaroników.

Jako panience Annie w sposób nader sympatyczny oszczędzone zostały kapryśność i humory, cechy, które sprawiały, że koegzystencja z jej siostrą równolatką w okresie przed wyfrunięciem z rodzinnego gniazda przypominała taniec na wulkanie.

— Ona się uśmiecha nawet do beczki z solą — mawiała Victoria regularnie przy śniadaniu, kiedy matka stawiała jej za wzór zawsze pogodną siostrę. — Każdy przecież wie, że to święta.

Od tamtego czasu Anna nic się nie zmieniła. Jej optymizm i radosne usposobienie dostrzegały nawet osoby, które niezyczliwość i pesymizm uważały za jedyną możliwą postawę w życiu. Anna potrzebowała dwa razy tyle czasu co matka, by przynieść z piekarni bułeczki. Zawsze przystawała koło dzieci, które na skwerku przy Günthersburgallee bawiły się w piaskownicy i na huśtawce. Z sąsiadami w sieni rozmawiała tak długo, jakby dopiero co wróciła z podróży dookoła świata, i dawała się wciągać w niekończące się pogawędki z obcymi ludźmi. Gdy kupcy z Berger Strasse utyskiwali na ciężkie czasy i polityków, słuchała ich uważnie i z zainteresowaniem. Kominiarza wypytywała o rodzinę, płaczące dzieci pocieszała cukierkami kupowanymi specjalnie w tym celu i podziwiała lalczyne dzieci dumnych małych mamus. Także każdy pies, który w oczach panienki Anny zasługiwał na pociechę i pogłaskanie po głowie, obdarzany był jej uwagą.

Jej siostra Clara, starsza o osiem lat i o całe epoki bardziej życiowo doświadczona, raczyła nieraz rodzinę — także w towarzystwie! — opowieściami o tym, jak to po kryjomu obserwowała kiedyś Annę u handlarza ryb. Miała ona jakoby flirtować tam z całym półmiskiem świeżych śledzi.

— A mnie nawet karpie nie zaszczyliły choćby jednym spojrzeniem, a przecież jeszcze żyły — puentowała.

Gdy nocą Anna zaciągała firanki w swoim pokoju, wciąż jeszcze radośnie przenosiła się w krainę marzeń. Na półce nad łóżkiem stały jej stare książki z bajkami i sentymentalne powieści dla młodych pań, które łudziły ją, że życie to dziecięca igraszka. Lalka, którą wystraszone, osieroczone przez matkę ośmioletnie dziecko tuliło w ramionach, gdy ojciec przyprowadził je do swego domu, do swej żony, jak dawniej siedziała na sofce i patrzyła na księżyc. Stary miś miał na sobie zielony kubraczek i czerwoną wstążkę na szyi.

Ten idylliczny obraz był jednak mylący. Anna nie była kimś, kto nie chce dorosnąć. Nie domagała się chroniących ją ramion. Na swój szczególny sposób odznaczała się życiową mądrością, wcześniej bowiem potrafiła wystrzegać się złudzeń, które młodych ludzi sprowadzają bezlitośnie na manowce. Nawet gdy już mieszkała w zamożnym domu Sternbergów, wciąż jeszcze była dzieckiem ubogich rodziców: marząc, nie pożądała rzeczy wielkich, zadowalała się drobnymi okruchami szczęścia. Gdy tylko zaczynała się zastanawiać nad wielkim szczęściem, myśli o zazdrości bogów napawała ją lękiem. Jej ulubionym bohaterem był dawniej Szczęśliwy Jaś, który na każdej zamianie, jakiej dokonywał, wychodził gorzej, a mimo to czuł się szczerze obdarowany. Przez całe życie dochowała mu wierności.

— Anna urodziła się głupia — zawyrokowała kiedyś dziesięcioletnia Victoria z okrucieństwem właściwym niewinnym dzieciom.

— Jest mądrzejsza niż ty — odparła matka — ale zdziwiłabym się, gdybyś to kiedyś zrozumiała.

Obecnie, w wieku osiemnastu lat, Anna marzyła o mądrym, elokwentnym mężu, który od czasu do czasu dopuszczałby do głosu swą żonę. Powinien, jak ona, chętnie czytać powieści edukacyjne i książki podróżnicze, delektować się jajkami na miękko w szklance i z radością spędzać czas na łonie natury. W niedzielę ten idealny mężczyzna powinien udawać się ze swą małżonką rowerem nad Jezioro Czterech Kantonów we frankfurckim Lesie Miejskim, a wieczorem chodzić z nią do kinematografu Alemannia przy Głównym Odwachu, z miejscami dla ośmiuset widzów. W jego eleganckim foyer znajdowały się cztery filary. Zamontowano na nich oświetlenie i obudowano metalowymi ramami oraz matowym szkłem. Anna była w tym efektownym filmowym rajku dopiero dwa razy od jego ponownego, uroczystego otwarcia po wielkiej przebudowie, na które zaproszeni byli Johann Isidor i madame Betsy, a także wszystkie znakomitości miasta.

Anna marzyła o domku w Seckbach, na wiejskim przedmieściu Frankfurtu. Ogród miał być wystarczająco duży dla trojga dzieci, doga, jakiego miał Bismarck, i łaciatego kota, który jak powszechnie wiadomo, przynosi szczęście. Zamierzała poprosić męża, by pod potężną jabłonią postawił ławeczkę i pomalował ją na zielono. W słoneczne dni przysłała pani domu chciała tam łuskać groch, a po skończonej pracy dziergać na drutach skarpety na zimę.

Victoria, która nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, że kiedykolwiek wyjdzie za mąż, nie mówiąc już o urodzeniu dzieci, słuchała jej szczególnie uważnie, gdy obie tak niepodobne do siebie przyrodnie siostry odmalowywały sobie przyszłość. Mimo to najczęściej zamykała oczy, jakby nie mogła znieść bez bólu obrazów mieszczańskiej idylli. Z cichym westchnieniem, jakie mogłaby wydać uwięziona Maria Stuart, gdy w swoim lochu wspominała szczęśliwe życie we Francji — w wykonaniu Victorii westchnienie to brzmiało równie rozdzierająco — mówiła: „Moja mała mieszczańeczka w fartuchu”.

Anna też знаła na pamięć tekst swojej roli.

— U mieszczan wiadomo przynajmniej, czego się można spodziewać — odpowiadała za każdym razem, po czym obie z Victorią wybuchaly takim spontanicznym śmiechem, jakby ta krótka scenka faktycznie była tylko słowną igraszką.

Śmiała się zwłaszcza Victoria, absolutnie pewna, że już wkrótce pod jej drzwiami ustawią się w kolejce najślawniejsi dyrektorzy teatrów w Niemczech z propozycjami długoterminowych kontraktów i z jej powodu będą się pojedynkować. Lubiła te niewinne przekomarzanki z dziecinnych lat. Ale jeszcze bardziej podobało jej się to, że mogła sobie wówczas pozwolić na drobne złośliwości, a ofiara jej ostrego języczka nie czuła się tym dotknięta. Anna zawsze była idealną partnerką takich zabaw — niczego nie brała za złe, łatwo było jej zaimponować, nigdy niczego nie zazdrościła i znała swoje możliwości.

Podziwiała swą niezależną, szykowną, wymądrzającą się siostrę. Nawet jej sarkazm uważała za elegancki. Z kokieteryjnej małej Vicky

o uroku osoby przedwcześnie dojrzałej, któremu nie potrafił się oprzeć nikt, ani kobiety, ani mężczyźni i dzieci, wyrosła prawdziwa piękność o długich nogach i wyrazistym profilu. Piętnastoletni młodzieńcy i czcigodni ojcowie rodzin oblewali się szkarłatnym rumieńcem, gdy czuli, że spojrzęła na nich Victoria Sternberg. Starsi panowie z reumatyzmem schylali się, by uratować chusteczkę pięknej panny przed brutalnym zdeptaniem, a jej staromodne chusteczki ozdobione koronką albo równie staroświecko pachnące koperty bezustannie wypadały z kieszeni — zupełnie jak w biedermeierowskich komediach. Młoda panna Sternberg, która umyśliła sobie, że będzie tak sławna jak Sarah Bernhardt i tak adorowana jak Josephine Baker, przy każdym spojrzeniu w lustro widziała królową.

Siostrze z innego świata imponowała nie tylko uroda Victorii, lecz także, jeszcze bardziej, jej determinacja i energia. Choćby ją wszyscy bez wyjątku, gromkim głosem, dzień w dzień przestrzegali przed wyborem drogi, na którą zamierzała wkroczyć, ona zatykała swe małe uszka szczupłymi, zadbanymi dłońmi; na lewej lśnił rubin, a na prawej złota zmiyka z oczami ze szmaragdów.

Panna Sternberg była przekonana, że urodziła się, by zostać aktorką. Oczywiście wyobraźni widziała się — zanim porwą ją do Berlina — w rodzinnym mieście, jak stoi na scenie usłanej różami, w wieńcu laurowym na głowie, a krytycy rozpływają się w zachwytach nad jej talentem. Ojciec będzie siedział w pierwszym rzędzie z wilgotnymi oczami, chociaż według swej mądrej córki nie miał pojęcia, co się w życiu liczyło, a aktorów uważał za podejrzany ludek, przed którym należy strzec suszącego się prania. Także z oczu matki, tej sceptycznej osoby, która nie potrafiła się uwolnić od mentalności swoich przodków i nie marzyła o niczym innym jak o korzystnie wydanych za mąż córkach i o zięciach, których jej będą zazdrościć, poleją się łzy, kiedy Victoria jako jasnowłosa Ofelia zostanie posłana przez Hamleta do klasztoru.

Jak na razie ten nadzwyczajny talent nie wystarczył nawet, by przyjęto ją do teatru jako adeptkę sztuki aktorskiej. Ale i w tych

posepnych chwilach, gdy przypominała sobie, jak dwóch nauczycieli profesji scenicznej nie przyjęło jej na naukę z powodu braku uzdolnień, nie wątpiła, że zagra kiedyś Desdemonę Otella i Julię Romea. Oraz Małgorzatę Fausta — wszystkie trzy w sposób, w jaki nikt ich do tej pory nie zagrał.

— Już na samą myśl, że ciągle wali się głową o mur, robi mi się niedobrze — powiedziała Anna.

— Musisz tylko znaleźć właściwe mury, siostrzyczko. Ale obawiam się, że masz na to zbyt mało fantazji.

Victoria się myliła. Annie bynajmniej nie brakowało fantazji. Tyle że oszczędzała ją na specjalne okazje. Niekiedy jej samej sprawiało przykrość, że dorasta w cieniu jak niepozorny fiołek. W takich momentach wyruszała w odległe światy, gdzie była wytworną damą, nawet w tygodniu nosiła drogie jedwabne pończochy i zawsze przezroczystą bieliznę. Nowy, jasnopopielaty, przylegający do głowy kapelusik z jedwabną liliową wstążką wyciągała z szafy z taką samą nonszalancją jak inne dziewczęta swoje berety. W chwilach wyjątkowej zdrożności dziewczyna Anna poczyniała sobie jeszcze śmieiej. Wtedy upodobniała się bliźniaczko do rozpustnej damy z półświatka na pudełku papierosów marki Xanthia.

Jej ojciec ostatnimi czasy palił właśnie xanthie — na okrągłym stoliku w salonie zawsze leżało pudełko z papierosami tej marki. I czasem mogło się zdarzyć, że Anna, która nigdy nie zbaczała z prostej drogi, odczuwała dręczące, wręcz fizyczne pragnienie rozpusty i grzechu. Na pudełku xanthii kobieta w śnieżnobiałej koszulce, z popielatoblond włosami i modną fryzurą *à la garçonne* z połowy lat dwudziestych i połyskującą alabastrową cerą marmurowej rzeźby, prężyła się na czerwonej skórzanej sofie. Wamp miał chłopięcą figurę i zamglony wzrok. W prawej dłoni trzymał długą, czarną cygarniczkę.

Anna jak średniowieczna kasztelanka plotła swoje długie włosy w skromną koronę wokół głowy i mimo podniecających zdjęć

chłopczyc w pismach dla wytwornych dam nie chciała się z nimi rozstać. Nie tylko zewnątrz różniła się o całe niebo od podziwianych wzorów. Była zbyt nieśmiała, by rozważyć choćby jedną z licznych nęcących ról, które szykowne dziennikarki zachwalały młodym kobietom jako trampolinę do nowoczesności.

Nowe poczucie wartości kobiet, które przy każdej okazji mówiły o wolności i miały odpowiednio swobodne poglądy na życie, w domu Sternbergów było domeną wyłącznie Clary i Victorii. Co prawda, Alice o wielkich błękitnych oczach miała dopiero jedenaście lat, ale i ona, pojętna uczennica starszych siostr, była już kobietą, jak piękny Narcyz zakochaną we własnym odbiciu. Nie ważne, czy trzy szykowne siostry obsługiwane były w sklepach poza kolejnością, przechadzały się w palmiarni czy też upajały komplementami w kawiarni, zainteresowanie mężczyzn i zazdrość innych kobiet miały zapewnione.

Victoria i Clara już rano pokazywały nogi. Każdego, kto ich słuchał, informowały, że kobiece nogi mają działanie równie zmysłowe jak grzebień koguta i różowe upierzenie flaminga. Nosiły cieliste pończochy z Paryża i zgrabne pantofelki z paseczkiem z czarnej lakierowanej skóry, a ich suknie miały talię na biodrach. Siostry dumne były z płaskich piersi i łabędzich szyj. Jako pierwsza *à la garçonne* ostrzygła się Victoria, a po niej Clara — karczek wygolił im męski fryzjer. Pani Betsy odebrało mowę. Jej córki informowały każdego, kto chciał ich słuchać, że nie ubierają się dla mężczyzn, lecz wyłącznie dla siebie. Obie wyskubywały sobie brwi i także w dzień używały granatowych cieni do powiek. Ich wargi były purpurowe, podobnie jak paznokcie.

— Jak gdyby ktoś rąbnął w nie młotkiem — skwitował ojciec.

W każdym towarzystwie Victoria zadawała szyku wyuzdaniem młodej dzikuski. Już po pierwszym kieliszku sherry obwieszczała, że z kobiecego biustu pożytek mają co najwyżej Buszmenki i mamki ze Szprewaldu. Spódnice Clary ledwie zakrywały kolano. Aby zachować chłopięcą figurę, w południe chrupała słupki selera i, jak

słusznie podejrzewała jej matka, brała środki przeczyszczające. Z perspektywy rodziców panna Clara prowokacyjnie często zapominała, co się wydarzyło, zanim ojciec przekazał jej mieszkanie na czwartym piętrze. Zgodnie z tradycyjną wilhelmińską terminologią najstarsza córka Sternbergów była mianowicie dziewczyną upadłą.

Mimo to jej siostra Victoria nie odczuwała najmniejszego lęku przed tym, aby pełnymi garściami czerpać z życia. W południe spotykała się na lunchu *à la mode* z wytwornymi paniami, którym czyniła nadzieje rozpalające ich fantazję. W eleganckich restauracjach wmawiała im, że w jej rodzinnym domu podawane są wyłącznie wina, jakie zaprzyjaźniony sommelier poleca zwykle wytwornemu towarzystwu paryskiemu. Zdziwiająco sugestywnie, bo ani jednego, ani drugiego nigdy nie próbowała, opisywała rozkosze *coq au vin* i żabich udek w rieslingu. Wpatrywała się pożądliwie w broszkę w witrynie najdroższego jubilera w mieście. Była to pantera z białego złota wysadzana rubinami, spoczywająca na czarnej aksamitnej poduszeczce.

Victoria, obdarzona talentem do autokreacji, uważała domową kuchnię za anachroniczną, a egzystencję gospodyni domowej za „pęta niezgodne z duchem czasu”. Matce, która urodziła i wychowała pięcioro dzieci, mówiła to bez krztyny zażenowania. Zachwycała się zielonym curry, które można było dostać w jednym jedynym sklepie, a homar, jeśli „serwowano go zbyt często”, był, jak twierdziła, „jednak nieco mdły”. Chociaż Victoria czuła obrzydzenie do mięsa wieprzowego, które w jej rodzinnym domu nie pojawiała się na stole nawet w czasach największej biedy, to często zachodziła do popularnych lokali w dzielnicy Sachsenhausen. Z mężczyznami, których uznawała za ważnych dla swej kariery, jadła tam żeberka z kiszoną kapustą i piła jabłecznik, który wcale jej nie służył. Z pewnym reżyserem, który obiecał jej główną rolę, chociaż sam od dwóch lat nie miał angażu, usiadła nawet do golonki. W nocy matka musiała jej robić ciepłe okłady na brzuch, a ona zastanawiała się, czy jej dziecinna wiara, że Bóg niezwłocznie

karze Żydów śmiercią za spożywanie wieprzowiny, nie była jednak uzasadniona.

Natomiast kucharkę Josephę, która dla słodkiej Vikusi piekła ciasto ze śliwkami i gotowała malinowy budyń, dorosła Victoria traktowała z respektem, jaki należał się tej dobrej duszy. Snobistyczna panienska taktownie zatajała przed nią zmianę języka oraz to, co je, gdy nie wsuwa swoich długich nóg pod rodzinny stół. Więcej: łagodne, piwne oczy Victorii wilgotniały, gdy jak w minionych latach na stole pojawiał się urodzinowy tort czekoladowy z kandyzowanymi fiołkami. W takich chwilach ta najefektowniejsza dama salonowa, jaką kiedykolwiek miał poznać niemiecki teatr, myślała o swej ciotecznej babce Jettchen. Vicky była jej najukochańszą cioteczną wnuczką; na każde urodziny otrzymywała od niej w prezencie jakiś drobiazg z cennej szkatułki z biżuterią, a na pamiątkę szczęśliwych dni ciotka posyłała jej z Baden-Baden śliwki w czekoladzie zapakowane w złoty papier. Zmarła przed pięcioma laty, we śnie, tak więc rodzina nie mogła się z nią pożegnać. Victoria nie potrafiła przeboleć jej śmierci. W ogóle miała pewien problem ze sprawami ostatecznymi. Śmierć najstarszego brata Ottona, który zginął już w trzecim miesiącu wojny, przeżyła jako sześciolatka i natychmiast wyparła ją z pamięci. Przeszłość chowała w szafie za ciężkimi wełnianymi kołdrami z czasów niedostatku — składały się na nią pożółkła fotografia, na której twarz brata nie pokrywała się już ze wspomnieniami Victorii, i czarno-czerwony kostium w kropki, w którym jako sześciolatka w przededniu pożogi wojennej święciła swe pierwsze triumfy na scenie jako biedronka. Stroik na głowę, szeroką czerwoną opaskę na włosy z czarnymi czułkami, Otto zrobił dla niej tuż przed wyruszeniem na front.

Victoria myślała o bracie tylko wtedy, gdy widziała ojca z gazetą dla żydowskich żołnierzy walczących na wojnie. Wspominając ciotkę Jettchen, zaczynała się jękać, za to o śmierci francuskiej heroiny teatru Sary Bernhardt i Rudolfa Valentino, idola kina z Hollywood, opowiadała, jakby widziała ją na własne oczy. Stratę

tych dwojga artystów określała jako „jedną z największych tragedii ludzkości dwudziestego wieku” i za „wstrząsający znak czasów” uważała to, że inni, nawet ci związani z teatrem, patrzyli na nią nierozumiejącym wzrokiem, gdy dźwięcznym głosem przedstawiała swoją wizję świata.

Także jej starsza siostra miała problem z czasami, w których przyszło jej żyć. Lubili ją wyłącznie ci, którzy jak ona czuli się wolni od „filisterskiego zaduchu”. Clara Sternberg miała dwadzieścia sześć lat, była niezamężna i bez widoków na zmianę stanu cywilnego. Znosiła swój los z podniesioną głową i ani przed przyjaciółmi, ani przed wrogami nie tłumaczyła się z raz obranej drogi. Ci, którzy wiedzieli, przebąkiwali, że ta duma nie przystoi nawet pannie Sternberg; przyszłość, byli tego pewni, miała to potwierdzić. Pani Winkelried, sprzątaczką, prawdziwy głos ludu, określała to najdosadniej.

— Panna Clara — zwykła twierdzić ta szczerą osobą — to kobieta upadła.

Nawet Josepha, choć serce kazało jej kochać dzieci pani Betsy jak własne, nie potrafiła się temu skutecznie przeciwstawić. Pani Winkelried została zgodzona do domu Sternbergów do cięższych prac, gdy sytuacja ekonomiczna warstwy wyższej z powrotem jako tako się ustabilizowała. W piątki posyłano ją także do Clary na czwarte piętro. Z zaciętą miną i potępieniem wypisanym na twarzy szorowała tam kuchnię, łazienkę i schody. Gertrud Winkelried, wdowa wojenna z mizerną rentą i trójką nienasyconych nigdy dzieci — wszystkie chodziły jeszcze do szkoły i trudno je było wykarmić — zdana była na dodatkowy zarobek u Clary. Cały czas dawała jednak odczuć zarówno swej rodzinie, jak i Josephie, że wyłącznie miłość matczyzna i bieda każą jej „u takiej” pracować.

Od dokładnie ośmiu lat i dziewięciu miesięcy panna Clara odmawiała bowiem wyjawienia, kto jest ojcem jej dziecka. Nawet rodzice nie potrafili jej wybaczyć odrzucenia mieszczańskiej moralności, a już zwłaszcza tego, że nie okazywała ani wstydu, ani

skruchy. Za to rodzeństwo Clary stało za nią murem. Dla Victorii starsza siostra była bohaterką walczącą o prawo kobiet do wolnej miłości. Anna i mała Alice podziwiała ją bez słów. Erwin, ukochany brat bliźniak, sam buntownik gardzący kompromisami jako grzechem, przyklaskiwał jej otwarciu.

— Nie każda żydowska matka znajduje dobrodusznego cieślę, któremu może wcisnąć swoje dziecko — oznajmił ojcu, gdy ten któregoś dnia znowu narzekał na niemiecką młodzież ogólnie, a na Clare w szczególności.

Erwin sadzał sobie rozchichotaną siostrzeniczkę Claudette na kolanach, wkładał jej na główkę wianki z pietruszki i lubczyku i śpiewał z nią na zmianę *Do boju, torreadorze* oraz *Miłość Cygana*. Jej dziadków wprawiało to w niesłychane zmieszanie i wprowadzało zamęt w ich głowach. Na czwartym piętrze w czasie upadku Clary z wyżyn, które zaludniały dobrze wychowane dziewczęta, mieszkał bowiem śpiewak operowy, piękny jak Apollo, a łowca kobiet jak Sinobrody. Fałszywy romantyczny ślad pozostawiał jednakże z premedytacją ten nygus Erwin. Sam doskonale wiedział, komu zawdzięcza swą ucieszną siostrzenicę.

W każdym razie mała Claudette była dzieckiem miłości i już jako ośmiolatka wyglądała jak typowa przedstawicielka rodziny Sternbergów — z oczami skrzącymi się jak gwiazdy i ustami, które wcześniej będą rozpalać marzenia mężczyzn. Już teraz mali chłopcy na Burgstrasse bili się o to, któremu wolno będzie nieść jej tornister do szkoły Marii Merian. Była diwą, zanim jeszcze poznała to słowo. Wykroje do jej sukienek matka sprowadzała z Paryża, szerokie wstążki do włosów pochodziły z pasmanterii dziadka. Jej skarpetki były białe jak konwalie, buciki zgrabne jak u Kopciuszka wysiadającego ze złotej karety. Przyszła królowa miała czarne loczki i wysokie kości policzkowe, co dodatkowo uszlachetniało jej wąską twarzyczkę. Nawet gdy buszowała w spiżarni Josephy i podkładała najpiękniejsze guziki z babcinego koszyczka z przyborami do szycia, wyglądała

niewinnie jak barokowy putto. Była wyrafinowana jak Salome, nieustraszona jak Dziewica Orleańska, a jeśli czasem płakała, jej łzy błyszczały niczym perły i oczarowywały anioły w niebie.

Claudette Sternberg przypadło w udziale wychowanie sprzeczne z duchem i moralnością epoki. Kluczowym pojęciem była w nim wolność. Dziewczynkę zachęcano do odwagi cywilnej i fizycznego męstwa, stanowiących broń mądrych. Życie tej szczęśliwej ośmiolatki było równie niekonwencjonalne, jak bez troskie. Nigdy nie pytała matki o ojca na ziemi, rzadko też o tego w niebie; wolno jej było brać z biblioteczki książki, które w innych domach trzymano pod kluczem, by nie miały do nich dostępu piętnastoletnie panny, mały aniołek uświadamiał więc wszystkie swoje przyjaciółki, że to nie bocian przynosi dzieci, a zajączek wielkanocny nie znosi jajek.

Nikt nie straszył Claudette czarnym ludem ani piekłem. Mogła kłąć jak szewc, a jej matka nie protestowała; biła się z ulicznikami, gdy trzeba było bronić własnego roweru, a swoje rywalki, które śmiały wątpić w jej cześć, uczyła moresu. Rezolutna amazonka z przerwą między zębami malowała sobie paznokcie na czerwono, wypróbowywała szminkę matki i jej kapelusze i nigdy nie musiała zjadać wszystkiego z talerza jak inne dzieci, pić tranu albo za jakieś dziecięce przewiny stać za karę w kącie. Zabierana była przez matkę i przystojnych panów, którzy bez powodzenia zabiegali o względy pięknej Clary, do wytwornych lokali, gdzie mogła jeść tyle ptysi i ciastek z czekoladą, że aż robiło się jej niedobrze i któryś z silnych młodych mężczyzn musiał ją odnosić do domu.

— Mamy dziś świeże kości miłości — oznajmiał siwowłosy kelner w Café Główny Odwach.

— Eklery — poprawiała go mademoiselle Claudette, gdyż orientowała się w wielkim świecie lepiej niż inne dziewczynki w szkolnym elementarzu.

Krasnoludki Królowy Śnieżki i niedola Kopciuszka były jej obojętne. Mały Jaś nie wybierał się dla niej w świat, żaden ptaszek

z dziecięcej piosenki nie świętował swego wesela, ale za to umiała tańczyć charlestona i uwielbiała kankana. Jej nauczycielką była ciotka Victoria. Claudette nie wiedziała nic o arce Noego czy jabłoni w raju, ale ubóstwiana mama opowiadała jej niezwykle obrazowo o Kleopatrze, która z miłości dała się zawinąć w dywan.

— Bez koszuli i majteczek — relacjonowała Claudette swej szokowanej babce. — Była golusieńka. Wujek Erwin powiedział, że wszyscy panowie strasznie się ucieszyli.

— Nasza córka powinna się wstydzić — skarżyła się pani Betsy swemu mężowi — a jej szanowny braciszek również. Opowiadać takie rzeczy małej, niewinnej dziewczynce! Prędszy bym sobie język odgryzła.

— Na wstyd jest już za późno — wzdychał Johann Isidor. — Jeśli ktoś powinien się tutaj wstydzić, to my, moja droga. Jako rodzice całkowicie zawiedliśmy. W przypadku Victorii i Alice również, jeśli chcesz znać moje zdanie. Że już nie wspomnę o Erwinie. Rok wcześniej, z okazji swoich sześćdziesiątych piątych urodzin, poprzysiągł sobie, że nigdy w życiu nie będzie się już denerwował z powodu swoich dzieci.

— Niech mi język uschnie — zaklinał się wobec licznych gości — jeśli kiedykolwiek wymknie mi się choć słowo skargi na własne potomstwo. — Był to, jak wszystkie zaklęcia, jedynie wyrażony publicznie zamiar, marzenie w oceanie złudzeń.

— Nasza Clara nigdy się nie wstydziła, niczego — przypomniał żonie, gdy ta opowiedziała mu o Claudette i Kleopatrze.

— Była zbyt młoda, by rozumieć, w co się wdaje — powiedziała pani Betsy. Mówiła to zawsze, gdy rozmowa schodziła na Clarę, ale nie przestawała czynić sobie wyrzutów.

— Teraz jest w końcu o osiem lat starsza. Kiedyś musi przecież do niej dotrzeć, że nie żyje na świecie tylko dla swojej przyjemności. Jej szanowny braciszek w wieku swoich zaledwie dwudziestu sześciu lat też przecież zaczął odczuwać powagę życia — zauważył Johann Isidor.



Pani Betsy nie znosiła, gdy jej mąż zaczął być ironiczny.

— Nie rób z siebie nieszczęśnika — mawiała. — Kto wie, co nam jeszcze przyniesie życie. To grzech tracić nadzieję.

— Masz oczywiście rację, moja droga, Spójrz tylko na syna starego Wolfa. Dla niego gra w brydża to zawód, ale w wieku pięćdziesięciu lat zdobył majątek.

— Naprawdę?

— Przysięgam. Ten spryciarz cztery dni po śmierci ojca sprzedał dom przy Wielandstrasse. Nasz Erwin kiedyś też przecież zrobi coś takiego z moimi domami. Jeśli nie rzuci się wcześniej do Menu, gdy się dowie, że uczyniłem cię moją spadkobierczynią uprzednią i będzie musiał poczekać, mam nadzieję, jeszcze wiele lat. Na swój zachówek oczywiście.

— Daj spokój, nie mów takich rzeczy. Dostaję gęziej skórki, kiedy zaczynasz w ten sposób mówić o naszej śmierci.

— Gęziej skórki byś dostała, gdybym nie sporządził testamentu, Betsy, a nasze dzieci zlicytowałyby ci dach nad głową, zanim otrzymałabyś z gminy rachunek za koszty pogrzebu.

Erwin od pięciu lat mieszkał w Berlinie; przesiadywał w poikoiku w oficynie, pił za dużo sznapsa, nigdy nie najadał się do syta i we wszystkich kolorach, które były święte dla malarzy ekspresjonistów, snuł marzenia o tym, że pewnego dnia świat pozna jego nazwisko. Do domu rodzinnego powracał tylko wtedy, gdy kończyło mu się wsparcie finansowe, a on nie wiedział, jak opłacić w Berlinie mieszkanie i wikt.

Po śmierci swego brata Ottona wielce obiecujący, inteligentny, dowcipny, czternastoletni wtedy Erwin Sternberg, chłopiec o wszechstronnych zainteresowaniach, odwrócił się od życia. I od ojca. Nie chciał być podporą rodu. Pasmanteria, sklepy ani wydawnictwo go nie interesowały. Nie zamierzał zdobyć mieszczańskiego fachu ani założyć rodziny. Nie zrobił matury, odmawiał nauki zawodu, chociaż ojciec mógł mu ją załatwić. Swe ideały wymazał z pamięci równie starannie jak wyprawy wojenne Cezara i mowy

Cycerona. Syjonizm, którym pasjonował się w młodości, już go nie poruszał. W niepamięć poszły kibuce w Palestynie, gdzie chciał prowadzić życie przepojone ideałami równości i braterstwa.

Erwin twierdził, że może być wyłącznie malarzem, fetowanym, natchnionym artystą; wierzył w swoje zdolności, których nikt od czasów czwartej klasy gimnazjalnej, gdy nauczyciel plastyki nie mógł się oprzeć jego smolistym oczom, już więcej nie potwierdził.

Z niecierpliwością wyczekiwał dnia, w którym jego talent zostanie dostrzeżony, i nic nie przyspieszało mu pulsu tak, jak wizja, że jego obrazy osiągną najwyższe ceny, że wystawiane są w muzeum Städl'a we Frankfurcie, w Berlinie, Londynie i Nowym Jorku i że ojciec, ten zagorzały i gorzkniejący oprawca synowskiego talentu, będzie sparaliżowany wstydem. Tymczasem jednak wielki malarz ekspresjonistyczny Erwin Sternberg karmił się nadzieją — oraz chlebem z musztardą i rozgrzewającą żołądek kiszka grochową, którą gotował w kuchni dobrotliwej wdowy, pani Benantzky. Rosa Benantzky zawsze rezerwowała w swym sercu miejsce dla mężczyzn w wieku jej syna, poległego młodo we Francji. Stopy ledwo utrzymywały ciężar jej ciała, a fartuchy ledwie się na niej dopinały, ale sofa z trzema własnoręcznie wyhaftowanymi poduszkami nakryta poźółkłą skórą niedźwiedzia polarnego wciąż jeszcze była dostatecznie szeroka dla dwojga.

Im dłużej Erwin mieszkał w Berlinie, tym częściej kupował bilety na trzecią klasę kolei żelaznej do Frankfurtu. Jego ojciec był nieszczęśliwy, gdy ten trudny młodzieniec przyjeżdżał do domu, a jeszcze nieszczęśliwszy, gdy z powrotem odjeżdżał. Matka odczuwała to samo. Za to Clara była równie podekscytowana jak jej mała córka, gdy ukochany brat ze swą bujną fantazją i torebką pianek w czekoladzie stawał przed drzwiami ich mieszkania i przysięgał na wszystkie świętości, że przyjechał na białym rumaku, prze-galopował po dachach — i oto jest. Konia, jak twierdził, uwiązał do trzepaka na podwórku, i prosił Claudette, by zechciała go wytrzeć do sucha i zebrać perły z jego grzywy. Erwin zachowywał się

beztrosko i niefrasobliwie jak sztubak, znów był tym zuchwałym urwisem, do którego nikt nie potrafił żywić urazy i któremu wszyscy przepowiadali wielką przyszłość. Ci, którym brakowało krytycznego spojrzenia jego zdesperowanych rodziców, także dwadzieścia lat później nie dostrzegali ani tego, co sobie wyrządził, ani tego, że rano drżały mu ręce.

Erwin i jego siostra bliźniaczka Clara wciąż jeszcze czuli się jednością, zakochani w sobie jak Romeo i Julia. Reagowali alergicznie na głupotę, a jeszcze bardziej wyczuleni byli na próby rozkazywania im. Bratu i siostrze wystarczało tylko spojrzeć na siebie, by jedno wiedziało, co myśli drugie. Ich serca i umysły pracowały w tym samym rytmie; mieli przed oczami te same obrazy i poszukiwali tego samego kształtu szczęścia. O wojnie nie rozmawiali nigdy, a o poległym bracie — tylko wtedy, gdy zostawali sami. Politykę i kłopotami gospodarczymi gnębiącymi ludzi interesowali się na swój sposób. Uważali, że Hindenburg jest śmieszny, i twierdzili, że nie potrafią odróżnić Gustava Stresemanna, ministra spraw zagranicznych, od prezesa banku Rzeszy Hjalmara Schachta, za to żywo interesowali się wydarzeniami w niemieckim teatrze, a jeśli trafili na kogoś o podobnych zapatrywaniach, dyskutowali całymi nocami na temat Ernsta Glaesera, który swoim dramatem *Seele über Bord* wywołał w Kassel skandal, a o sztuce Georga Kaisera *Mieszczanie z Calais* opowiadali tak sugestywnie, jakby dopiero co wyszli z teatru, chociaż na jej prapremierze we Frankfurcie byli w wieku siedemnastu lat.

Oboje zachwycali się jazzem, Hindemithem i Arnoldem Schönbergiem, co ich ojca, który chętnie słuchał muzyki operetkowej, a importy z Ameryki określał jako „muzykę murzyńską”, skłoniło do uwagi na temat „intelektualnego hochsztaplerstwa ludzi, którzy niczego innego w życiu nie osiągnęli”. Clarze w ogóle nie przyszłoby do głowy skrzywdzić brata pouczeniem czy wytykaniem mu czegoś. A już zwłaszcza nie mogłaby ranić godności jedynego mężczyzny, którego kiedykolwiek w życiu miała kochać.

To, co poruszało jego, poruszało także ją. Jego smutki były jej smutkami.

Również serce Josephy nie dopuszczało żadnych zmian, gdy chodziło o Erwina. Był zawsze jej ulubieńcem, ubóstwianym przez nią już jako psotny czterolatek, rozpieszczanym jak królówic z bajki i tak wychuchanym, jakby najłżejszy podmuch wiatru mógł go zwiać z powierzchni ziemi. Josepha nie dawała się zwieść jego bladej, wyostrejzonej twarzy i cieniom pod zaczerwienionymi oczyma. Wciąż jeszcze widziała go jako zwycięzcę, promiennego anioła, któremu cały świat wyrządził krzywdę. Temu aniołowi o podciętych skrzydłach, w swoim dawnym dziecięcym pokoju szukającemu schronienia przed chaosem, który sobie sam stwarzał, gdy nie wiedział już, co dalej, Josepha gotowała wszystkie jego ulubione potrawy. Jak w dawnych, dobrych czasach, gdy wszystko było jeszcze jasne i uporządkowane, z uderzeniem trzeciej stawiała na stole babkę ze skórką cytrynową i najlepszymi greckimi roźdzynkami, a obok biało-czerwoną miseczkę w kropki. Jako dziecko kazał w niej zawsze podawać bitą śmietanę dla przyjaciela, którego nikt poza nim nie widział.

Szanowana przez wszystkich kucharka odpowiedzialna tylko za gotowanie dla państwa opróżniała popielniczki, jakby ta przyziemna praca należała do jej codziennych obowiązków. Grunt, żeby pani Betsy nie zauważyła, że jej syn jest nałogowym palaczem. Również niewielkie buteleczki po sznapsie Josepha uprzętała z pokoju Erwina, zanim odkryłaby je matka — i wyciągnęła właściwe wnioski. Josepha łątała po nocach sfatygowaną bieliznę „swego chłopca”. W równie okropnym stanie były jego pantofle i zimowe kamasze. Wierna sługa po kryjomu oddawała je do podzelowania — u szewca w alei Wittelsbachów, dokąd madame Betsy nigdy nie docierała. Na pożegnanie panna Krause, od dwudziestu sześciu lat królująca w kuchni Sternbergów, wtykała „swemu chłopcu” znaczną część własnego wynagrodzenia, a on przyjmował to wsparcie bez słowa protestu.

W dniu wyjazdu Erwin z wdzięcznością obejmował swą współniczkę, mówiąc tak głośno, że musiał go słyszeć każdy, kogo to obchodziło:

— Moja najlepsza, moja kochana Josepha. Tylko ona w tej dystygowanej rodzinie zawsze mnie rozumiała.

Te słowa ciągle jeszcze brzmiały w uszach Josephy Krause jak muzyka i przez krótką, pełną wyrzutu chwilę kucharka patrzyła na swą chlebodawczynię tak, jakby to madame Sternberg była wszystkim winna.

Ilekcio wygłodniały twórca zjawiał się w domu, by delektować się jadłem z rodzinnego stołu, malował też jakiś obraz dla swej przyrodniej siostry. Przebiegało to za każdym razem w identyczny sposób. Anna była zmieszana jak niezgrabny podlotek i jąkała się niemiłosiernie, gdy Erwin z głębokim ukłonem wręczał jej podarek. Nie znała się na sztuce i żyła w ciągłym strachu, że jakimś fałszywym słowem pochwały mogłaby urazić artystę. Ryunki tuszem i niewielkie szkice, karykatury rzucone na papier szybką, swobodną kreską, jak też niepokojące akwarele w jaskrawych kolorach dumna obdarowana przechowywała w teczce obitej zielonym aksamitem. Każda kartka wydawała się jej kluczem do świata, który mogła odkryć jedynie przy pomocy Erwina. Ten zaś był wzruszony, gdy raz podczas odwiedzin w jej pokoju zobaczył tę teczkę na secesyjnym stolyczku i przeczytał napis drukowanymi literami: „Wczesne dzieła Erwina Sternberga”.

— Jesteś bezsprzecznie najlepszym, co kiedykolwiek przydarzyło się mojemu ojcu — mawiał często.

— To twój ojciec jest najlepszym, co przydarzyło się mnie — zwykła odpowiadać mu za każdym razem. — Gdyby nie on, nigdy nie nauczyłabym się wierzyć w cuda.

— Chociaż raz w życiu pani Fortuna nie strzeliła byka!

Rzeczywiście, przerażonej małej dziewczynce, której w chwili śmierci matki zgryźliwa sąsiadka przepowiadała życie w sierocińcu i fasolę z blaszanej miski każdego dnia, zdarzyły się dwa cuda. Po pierwsze, pochwyciły ją ramiona ojca, dla którego naka-

zem boskim było zatroszczyć się o swe dziecko i odbyć pokutę za grzechy. Po drugie, ten ojciec poślubił niezwykłą kobietę. Betsy Sternberg, zdradzona małżonka, nie tylko wielkodusznie wybaczyła swemu zbłąkanemu mężowi niewierność, jak gdyby bez własnej winy zбочzył z drogi cnoty. Otworzyła też przed obcym dzieckiem serce i ramiona i pokochała je jak własne.

— Nie mam zamiaru odgrywać złej macochy tylko dlatego, że ty zrobiłeś z siebie głupca — powiedziała zaraz po przybyciu Anny do domu przy alei Rothschildów. — Kopciuszek i Królowa Śnieżka nie dorastały w żydowskiej rodzinie.

Młodzi szybko i zdecydowanie wyparli z pamięci to, co uczyniła ludzkości wojna. Groza inflacji i cienie depresji gospodarczej rozplywały się już w zacierającej kontury mgłę. Rzucili się w nowe życie. Także Anna nauczyła się cenić jego lekkość — dzięki ojcu, który spełniał zachcianki swoich córek, nie oczekując od nich wdzięczności ani nie wytykając im, że jemu oszczędność towarzyszyła wiernie, odkąd pamięta. Nawet jeśli z wiekiem nie stał się łagodniejszy, to jednak powiedzenie „tak” przychodziło mu obecnie łatwiej niż szorstkie „nie” z wczesnych lat ojcostwa.

Przybrana matka Anny była dostatecznie mądra, by nie liczyć, ile pieniędzy trafiało do wyciągniętych rąk córek — a one z ujmującym uśmiechem nigdy nie omieszkaly zwrócić jej uwagi na to, że „skromne panienki może i pójda do nieba, ale na ziemi pozostają w cieniu”. Anna nie dawała się tak łatwo skusić. W dzieciństwie nie ciągnęło jej do gwiazd, w młodości — do aksamitnych toalet i jedwabnych sukni Victorii ani do ognistoczerwonego boa, które tamta nosiła z godnością, jak gdyby została już najsławniejszą damą w salonach Frankfurtu. Także wyczyny Clary, pożywka dla plotkar w każdym wieku, nie wzbudzały w Annie potrzeby naśladownictwa. Piękne pozory i krótkie oszołomienie, tandeta i błyskotki wydawały się jej podejrzane. Swoim szykownym siostronom życzyła jednak zawsze miejsca po słonecznej stronie życia. Była pierwsza, która je oklaskiwała, ale sama nie łaknęła okrzyków zachwyty i podziwu.

Czwarta córka Sternberga, która tak niespodziewanie zjawiała się w jego domu, wcześniej zrozumiała, że w życiu trwałe jest tylko zadowolenie. Jako dziesięcioletka wpisała koleżance z klasy do pamiętnika: „Na świecie są nie tylko góry, muszą też być doliny”. W zeszyt do kaligrafii wypisała sentencję: „Pilność i rozsądek to w życiu porządek”. Victoria dostała ataku śmiechu, gdy matka z wyrzutem podała jej przy zupie zeszyt Anny. Na obrazkach, które Vicky, klasowa ulubienica, wtedy malowała, wytworne damy przechadzały się z białymi pieskami i białymi parasolkami obok białych koszy plażowych.

— Charakter Anna ma po mnie — mówiła pani Betsy, gdy rok tysięcy dziewięćset dwudziesty szósty zmierzał ku końcowi. Niczym słodka szesnastolatka madame Sternberg odgarnęła z czoła niesforny loczek. W jej oczach wciąż zapalały się iskierki. Długo jeszcze nie musiała udawać się na poszukiwanie minionego czasu. Zegar w korytarzu, tykając głośno, nie pozwalał zapomnieć o przyszłości. Pączki z nadzieniem śliwkowym piętrzyły się na niebieskiej kryształowej paterze po ciotecznej babce Jettchen, w srebrnych lichtarzach migotały świece. Claudette ziewała tak głośno, że wszyscy to słyszeli. Przerażona przycisnęła dłoń do ust. Pierwszy raz wolno jej było powitać Nowy Rok z dorosłymi.

— Twoja mama też zawsze ziewała, kiedy miała tyle lat co ty — pocieszyła ją Josepha — ale za nic w świecie nie dałaby się zapędzić do łóżka. — Postawiła przed panem domu lakierowaną na czerwono tacę z pucharkami do szampana i butelką musującego wina marki Feist; jej szyjkę obwiązała białą, wykrochmaloną serwetką.

— Dawniej — westchnął Johann Isidor — w noc sylwestrową piliśmy szampana, ale teraz Francuzi zarządzili, że Niemcy mogą pić tylko wino musujące.

— Możesz żłopać francuskiego szampana, ile tylko chcesz, tyle że nie wolno już nazywać niemieckiego wina musującego szampanem — poprawił go syn.

— Bardzo sprytnie, przekłeta Grande Nation. Ale jeśli ci państwo w Paryżu myślą, że będziemy teraz wszyscy kupować ich szampana, to się grubo mylą. Już choćby poczucie dumy narodowej każe mi pić wyłącznie niemieckie wino musujące.

— Twoje zdrowie, monsieur — powiedział Erwin. — Za twoją dumę. Teraz przynajmniej wiemy, o co walczyliśmy.

— Nasza Anna jest doprawdy jedyną z was, która urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą — upierała się Betsy. Nie pozwalała odwieść się od tematu, który poruszyła, a już zwłaszcza przez politykę.

— Biada nam — jęknęła Clara, zamknęła oczy i wzdrygnęła się. Victoria nie była jedyną osobą w tej rodzinie obdarzoną talentem aktorskim.

— Odetchnąć głęboko — zawołał Erwin — a uszy nastawić na przeciąg.

Publiczne roztrząsanie przez panią Betsy rozdziału jej życia, którego nigdy nie ogarnie w całości, po blisko dwudziestu latach nie wymagało już żadnej reakcji. Wystarczyły jej aluzje i drobne docinki, nieznaczny ruch głową, niby przypadkowy, ale zamierzony uśmiech, który delikwentowi zamykał usta. Ten niezwykły jednoosobowy skecz był stałym elementem sylwestra, podobnie jak tradycyjne podłużne bułeczki drożdżowe z piekarni, małe tekturowe figurki kominiarzy, którzy wyłaniali się z czterolistnej koniczyny, oraz kiszona kapusta, zapewniająca we Frankfurcie pełną portmonetkę. Johann Isidor zapalił papierosa i wpatrywał się w dym.

Gdy babcia wsuwała dziadkowi do ust pączek, z którego wyleciało nieco powideł, Claudette zaczęła tak chichotać, że nie mogła utrzymać w ręce szklanki. Sok malinowy trysnął na drogą węgierską bluzkę z haftem. Wujek Erwin klasnął w ręce i nazwał ją zachwycającym prosiakiem. Jej jedenastoletnia ciotka Alice uśmiechała się z mądrą minką. W tej emocjonalnej gmatwaninie między kobietami a mężczyznami orientowała się lepiej niż w swojej

książce do gramatyki angielskiej. Papuga, wygadana pamiątka po uwielbianej ciotce Jettchen, wyskrzeczwała swoje imię. Nazywała się Otto.

— Bardzo mi się podoba, że Anna tak dużo ma po mnie — powiedziała Betsy. — Takie cuda nie zdarzają się przecież codziennie.

Policzki Anny płonęły. Gniotła ręce i czuła potrzebę przeproszenia wszystkich obecnych za to, że siedziała z nimi przy stole. Co roku czuła się zakłopotana, że akurat w sylwestra jej uwielbiana przybrana matka raczyła sobie żartować.

— Wydaje mi się... — Anna wzięła rozpęd, ale nie zdołała utrzymać swoich myśli na wodzy dostatecznie długo, by je wypowiedzieć, i opuściła wzrok na podłogę; od dzieciństwa marzyła o elokwencji sióstr i błyskotliwości Erwina. Ojciec zauważył, że jego wyjątkowa córka cierpi; pochylił się ku niej. Jego ręka tylko na mgnienie oka spoczęła na jej ramieniu, Anna poczuła jednak ciepło i oddech na karku. Wsunęła prawą rękę do kieszeni spodnicy. Ojciec także szukał chusteczki.

Johann Isidor Sternberg chętnie by adoptował Annę Marię Haferkorn i dał jej swoje nazwisko, ale ze względu na czworo dzieci z prawego łóża, a także na Betsy, której uczuć nie chciał urazić jeszcze bardziej, niż to już uczynił swoim wyskokiem, zrezygnował z tego kroku prawnego. Niemniej Anna była jego ukochaną córką. Wszyscy to wiedzieli, i nikt — nawet gadatliwa mała Alice — nigdy nie dawał po sobie poznać, że wie. Dopiero dzień przed swoimi dwunastymi urodzinami Anna dowiedziała się, że człowiek, którego całe życie nazywała „wujkiem Johannem”, to jej rodzony ojciec.

Godzina prawdy wybiła w ogrodzie zimowym. Do tego czasu mała Anna o grubych warkoczach była pewna, że dobry wujek Johann został osobiście zesłany przez Boga z poleceniem, by po śmierci matki obdarzyć biedną sierotkę aksamitnymi sukienkami, czarnymi bucikami zapinanymi na guziczki, marcepanowymi ciasteczkami, zielonookim czarnym pluszowym kotem, biało polakierowanym biureczkiem i fascynującą towarzyszką zabaw Victorią.

W późniejszych latach to ojciec Anny był marzycielem. Zdarzały się noce, kiedy nie odczuwał bólów w stawach ani lęków starości. Spotykał się wtedy z jej matką — wciąż jeszcze potajemnie i z bijącym sercem, i wciąż jeszcze w swoim kantorku przy Ha-sengasse. We wspomnieniach kupca Sternberga panna Haferkorn z błękitnymi oczami i dołeczkami w brodzie wciąż jeszcze była tak młoda, tak piękna i radosna jak tamtej brzemiennej w skutki majowej nocy.

Poza uroczą panną Fritzi Haferkorn, w czasach grzechu jej wielce szanownego pryncypała najmłodszą pracownicą pasmante-rii Sternberg, tą, która nigdy nie nosiła gorsetu, za to często bardzo przejrzyste bluzki, żadna kobieta nie skłoniła Johanna Isidora do tego, by zapomniał o zasadach i moralności. Zapachu skóry Fritzi, ciężaru jej ud, jej czerwonych warg i beztroski, gdy lecieli do nieba, nie zapomniał nigdy. Chociaż podczas tego podniebnego lotu osmalił sobie skrzydła, to przez całe życie zachował wdzięczność dla Fritzi, uwodzicielki w cytrynowożółtej halce. Bez niej ani razu nie zakosztowałby namiętności i ani razu nie poczuł tej odwiecznej potrzeby człowieka, by zatrzymać na zawsze chwilę szczęścia.

Czy z tego właśnie powodu bardziej kochał Annę niż Clarę, Victorię i Alice? Johann Isidor często zadawał sobie to pytanie, nie odważył się jednak odpowiedzieć na nie definitywnie. A teraz miał sześćdziesiąt sześć lat, białe włosy i siwą brodę, rano dopadał go ponury nastrój, a w niektóre wieczory czuł lęk, że następnego dnia już się nie obudzi. Jego pamięć nie śpiewała już wiosennych piose-nek, gdy kwitły jabłonie, nos przestał chwytać zapach róż. Żołądek był kapryśny, głowa buntowała się przeciwko światłu i hałasowi, a lustro stało się zgryźliwym kronikarzem.

Johann Isidor Sternberg, niegdyś mężczyzna trzymający się prosto, o wzroku skierowanym w przyszłość, już tylko z trudem potrafił wyprężyć ramiona, dla niego dzwony nie obwieszczały już zwycięstw, nie modlił się już za pomyślność ojczyzny. Stał się oj-cem jak wielu innych, którzy boleli nad bohaterską śmiercią swoich

synów i pytali, za co. Akurat ta ojczyzna, którą kochał każdym włóknem swego serca, kazała mu powracać do jego początków. Gdy Johann Isidor myślał o ojczyźnie, widział już tylko siebie biegnącego po ojcowskiej łące w Schotten i matkę zaplatającą chałkę z makiem na szabas. Dla jej syna piękne żydowskie marzenie z czasów cesarskich na zawsze pozostało niespełnione. W Niemczech żaden Żyd nie będzie już równym między równymi. Idea emancypacji poległa w wojnie światowej, powróciło średniowiecze.

Żydom na powrót wyznaczono ich dawną rolę. Znowu stali się kozłami ofiarnymi, jakimi byli zawsze w czasach niedoli, to im przypisywano odpowiedzialność za niemiecki los. Tylko ich obarczono winą za przegraną wojnę, inflację, głód i bezrobocie.

W drugiej połowie lat dwudziestych nasiliły się w kraju ataki antysemitki. Coraz więcej ludzi dołączało do chóru nienawistników, plującego od zawsze jadem w stronę nie lubianej mniejszości.

Z początku obywatel niemiecki Sternberg stosował jeszcze strategię, która przez całe życie chroniła go przed nie miłymi prawdami. Zamykał oczy przed rzeczywistością i zatykał uszy, ale w końcu zwyciężyła jego mądrość. Zrozumiał, że próby samoszukiwania się, jakie podejmował przez całe życie, ostatecznie poniosły klęskę. Niemcy nie zamierzały nigdy zaakceptować swoich Żydów jako szanowanych, równouprawnionych obywateli. Utrata tych złudzeń odebrała Johannowi Isidorowi siłę i chęć życia. „Mój czas się kończy” — powiedział kiedyś do Betsy i chociaż nigdy nie nauczył się rozumieć milczenia swej żony, to tym razem zauważył, że chciała mu coś odpowiedzieć.

Jako człowiek interesu Johann Isidor pozostał jednak tym, kim zawsze był — zręcznym, pomysłowym i odważnym przedsiębiorcą. Zza swego biurka wymachiwał sztandarem nadziei z dawnych czasów. Decyzje podejmował ze spontanicznością kogoś, kto ma podstawy, by ufać swemu doświadczeniu. Dom przy alei Rothschildów i drugi przy Glauburgstrasse były w znakomitym stanie, nieobciążone hipoteką, wszystkie mieszkania korzystnie wynajęte.

Niektóre miały nawet łazienki z wanną i umywalką. Z korytarza zniknęły wszystkie wspólne toalety. Kuchnie zostały wykafelkowane, zlewy odnowione. Pralnia przy alei Rothschildów została wyposażona w nowoczesną termę na gorącą wodę i w maglownicę, a strych w elektryczne oświetlenie.

Do pasmanterii przy Hasengasse, jego pierwszego sklepu, ukochanego jak rodzone dziecko, dołączyły trzy składy z wyrobami tekstylnymi. „Ludzie zawsze będą potrzebowali ubrań” — usłyszała pani Betsy przy zakładaniu trzeciego z nich, na Berger Strasse niedaleko Merianplatz, kiedy („niczym osoba małej wiary i bez aspiracji” — sarkauł) wskazywała na niepewne czasy i namawiała męża do ostrożności.

Swego współnika w wydawnictwie pocztówkowym, człowieka nieżyczliwego, przebiegłego i podejrzliwego, noszącego jak na ironię nazwisko Ehrlich (1), spłacił i rozstał się z nim bez żalu. Samo wydawnictwo szybciej niż większość tego typu firm poradziło sobie z inflacją. Nawet jeśli mistrz Sternberg myślami wracał tęsknie do przeszłości, gdy czytając gazetę, zestawiał szczegółowy bilans niemieckich kryzysów, to jako kupiec umiał czerpać profity z tarażniejszości. Jego przyjaciele, a zwłaszcza konkurenci, wciąż jeszcze podziwiali jego „szczęście do interesów”.

Słuchał tego chętnie — nie oszczędziła go starcza próżność. Mimo to powiedział kiedyś do Betsy:

— Podczas inflacji ludzie postradali nie tylko majątki, ale też tę resztkę rozumu, którą dał im dobry Bóg. Szczęścia od dawna już nie ma. Są jeszcze tylko złudzenia i głupcy.

On sam stracił wszelkie złudzenia, a głupcem nigdy nie był. Cokolwiek gadaliby naiwni o świetelku w tunelu i pokoju na świecie, Johann Isidor nie podzielał tej nadziei. Nie zamierzał już dawać wiary deklaracjom głoszonym przez polityków. Traktat pokojowy z Locarno, przyjęcie Niemiec do Ligi Narodów, cała ta

---

(1) *Ehrlich* (niem.) — uczciwy.

Republika Weimarska były mu obojętne. Gdy dwudziestego czwartego czerwca tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku, w drodze do ministerstwa, zamordowany został minister spraw zagranicznych Walther Rathenau, Johann Isidor postanowił, że przestaje się interesować polityką, ale na szklanym stoloczku obok uszatego fotela z zieloną aksamitną poduszką ciotki Jettchen nadal piętrzyła się sterta gazet.

Jego pierwszą czynnością rano i ostatnią wieczorem było sięgnięcie do gałki radia. W każdy piątek po południu spotykał się z doktorem Meyerbeerem, długoletnim lekarzem domowym, w celu postawienia diagnozy chorym czasom. Johann Isidor stworzył sobie własny obraz Republiki, ale nie miał już żadnych złudzeń. Lewica go mierzyła, groźby prawicy budziły lęk. Wstydził się swoich obaw i nie rozmawiał o nich ani z Meyerbeerem, ani z Betsy. Człowieka, który trzy lata wcześniej zorganizował próbę puczu w Monachium, a teraz siedział w więzieniu w Landsbergu, nazywał konsekwentnie „cherlakiem” i „przybłądą z Austrii”. Własnemu synowi miał za złe, że ten go przejrzał.

— Pan Hitler — pouczał Erwina, gdy ten akurat w ostatnim kwadransie roku tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego o nim mówił — dochrapał się podczas wojny ledwie stopnia gefrajtra, a w życiu zdziałał niewiele więcej. Kimś takim nie mam zamiaru się zajmować.

— Ale może któregoś dnia on zajmie się tobą — odparł Erwin z uprzejmością, w której Johann Isidor z miejsca zwietrzył sarkazm, tak go zawsze raniący. — Mianowicie on bardzo interesuje się Żydami, wiesz? Powinieneś kiedyś przeczytać jego książkę. Właśnie się ukazała.

— Już jako dziecko czytałeś poniżej swojego poziomu — wypomniał mu ojciec. — Każda rzecz, której pozbywam się za pół ceny w ramach wyprzedaży poinwentaryzacyjnej, interesuje mnie bardziej niż ten żalony prostak ze swoim świdrującym spojrzeniem. Możesz mi wierzyć, synu.

— Wierzę na słowo, ojczu.

Wyprzedaż poinwentaryzacyjna od tygodni była przedmiotem rozmów. Kupcy liczyli na zwiększone obroty przed Bożym Narodzeniem. Do sklepu przy Berger Strasse Johann Isidor zamówił specjalnie partię dużych futrzanych kołnierzy z puszystą kitą. Zamierzał je oferować poniżej dziesięciu marek za sztukę. Anna przyczepiała do towaru metki z przekreśloną starą ceną i kuszącą nową. Od dwóch lat była gorliwą pomocnicą ojca, w pasmancerii zajęła miejsce, które niegdyś piastowała jej matka. Stary dozorca domyślał się tego i mrużył oczy, gdy rano widział ich razem. Klientela, zwłaszcza ta starsza, narzekająca na bezosobową obsługę w tych nowoczesnych wielkich sklepach, zachwycała się grzecznością Anny. Jej uszczęśliwiony ojciec uważał za niekończący się cud to, że ukochana córka nie była podobna do pozostałych trzech.

Staremu rokowi pozostało jeszcze siedem minut i trzydzieści sekund życia. Pan domu, w dobrym humorze, zastanawiał się, czy może podarować Annie jeden z futrzanych kołnierzy, nie ryzykując, że Betsy, Clara i Victoria będą zazdrosne. W tym momencie rozległo się łomotanie do drzwi salonu. Johann Isidor wzdrygnął się jak człowiek, który ma nieczyste sumienie. Wszyscy spojrzeli na niego. Josepha manipulowała przy serwetce wokół butelki wina, Clara popatrzyła na brata. Ten podrapał się po głowie. Johann Isidor zauważył jednocześnie, że Claudette nie stała już za krzesłem swej babci i że jej bransoletka z kolorowych koralików leżała na podłodze. Zrobiło mu się niedobrze.

— Gdzie...? — spytał, a gdy nikt mu nie odpowiedział, rzekł cicho: — Kto?

Erwin zerwał się na równe nogi. W jednej chwili z powrotem był gibki i piękny jak w dzieciństwie. Dawne anielskie chłopię podszło tanecznym krokiem do drzwi, przemieniło się w arlekina z ustami jak wiśnie, w szczerzącą się w uśmiechu kukielkę z frankfurcką wymową, w soczyście zielonej papierowej czapce.

— Prosimy, jeśliś nie kostucha — zawołał i skłonił się.

W drzwiach stała Victoria w białym smokingu i z szeroką czerwoną szarfą wokół chłopiących bioder. Szczupluta długonoga piękność miała na głowie szary melonik i trzymała za rękę Claudette przebraną za kominiarza. Pośród zachwyconych okrzyków rodziny uroczą panną Sternberg, która zamierzała zostać najsłynniejszą subretką w Niemczech, zaśpiewała refren z *Marietty*, ulubionej operetki Waltera Kolla. „Poczekaj, poczekaj tylko chwilkę, wkrótce także do ciebie zawita szczęście”.

— Teraz ty — szepnęła piękna ciotka; popchnęła uzdolnioną siostrzenicę, która przez swą przerwę w górnych przednich zębach umiała zagwizdać *Miałem kiedyś towarzysza*, na środek salonu. A potem obie, światowa dama w bieli i stepujący kominiarczyk w małym cylinderku i z drabiną z pomalowanej na czarno tektury, zaśpiewały razem: „Poczekaj, poczekaj tylko chwilkę, a wkrótce także do ciebie zawita szczęście. Gdy zakwitnie pierwszy fiołek, zapuka cichutko do drzwi”. Claudette dygnęła. Wyraźnie i tak głośno, że w ogrodzie zimowym obudziła się papuga i powiedziała:

— Moje podziękowania dla ojca i syna Kolla.

O dziadkach nie było mowy. Dziadek Claudette gardził sentymentami, uważał też, że niemieckiemu mężczyźnie nie przystoi okazywanie uczuć. A jednak rok tysiąc dziewięćset dwudziesty siódmy przyłapał go ze łzami w oczach.





Dla członków rodziny Sternberg, którzy w *Domu przy alei Rothschildów* jeszcze marzyli o tym, by stać się równouprawnionymi obywatelami w niemieckiej ojczyźnie, ta nadzieja zamienia się w koszmar.

Syn Johanna Isidora, Erwin, traci pracę, a na drzwiach mieszkania znajduje kartkę „Żydzi niepożądani!”. Jego zięciowi, dr. Friedrichowi Feuereisenowi, odebrano prawo wykonywania zawodu adwokata i notariusza. Z błahego powodu jemu oraz jego młodej żonie Viktorii wymówiono mieszkanie. Córka Johanna Isidora, Alice, i jego wnuczka Claudia wskutek szykan zmuszone zostają do opuszczenia gimnazjum. Anna nie ma odwagi pójść do urzędu stanu cywilnego, by ustalić datę ślubu.

Z pasją i subtelnym wyczuciem szczegółów historycznych Stefanie Zweig opowiada o wydarzeniach między rokiem 1926 a 1937. Opisuje losy rodziny, które mogłyby przypaść w udziale jej samej — bez goryczy, za to z głębokim zrozumieniem.

Drugi tom bestsellerowej sagi rodzinnej.

Cena: 34,90 zł

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)

